

Tadeusz Zajączkowski: Widmo nad Doliną Śmierci

Dziś, kiedy piszę te słowa, na wzgórzu zwanym Widmo i w Dolinie Śmierci panuje spokój. Z rzadka tylko tu zaleci jakiś niemiecki pocisk, ludzi nie widać wcale. Może tylko jeszcze leje i wyrwy, może mnóstwo odłamków leżących wszędzie, może strzaskane hełmy i rozrzucona amunicja przypominają o tym piekle, jakie tu było przed paru dniami – pisał Tadeusz Zajączkowski.

Nie szukajcie tych nazw w słownikach geograficznych, nie pytajcie o nie mieszkańców sąsiednich wiosek: oficjalnie one nie istnieją. Widmo i Dolina Śmierci – to przezwiska żołnierskie, nadane baniastej górze i leżącej przy niej kotlinie przez Anglików i Amerykanów, którzy długie miesiące gęsto zaścielali je trupem.

Stanowi to niewielki spłachetek ziemi – może trzy hektary wszystkiego razem – i prowadzi do podnóża Colle San Angelo, kluczowej pozycji obronnej linii Gustawa, niemieckich umocnień, broniących dostępu do Rzymu. Kto siedzi na San Angelo, ten jest panem w Monte Cassino, Monte Cassino zaś jak klin wbija się w dolinę i zamyka drogę na Rzym.

Strome niedostępne zbocza najeżone są ostrymi głazami, zarosłe zbitym w jedną masę gąszczem krzaków. Do tego Widmo, niby prawdziwy upiór, zieje śmiertelnym ogniem ze strzelnic przemyślnie

zamaskowanych bunkrów na każdego śmiałka, który do niego podejść się odważy. Dolina Śmierci zaś stała się od dawna grobem wielu dzielnych żołnierzy, którzy kładli się tu pokotem, rażeni ulewą pocisków ze stanowisk niemieckich na szczycie San Angelo.

Bo San Angelo, wbrew swej anielskiej nazwie, jest prawdziwie diabelską twierdzą, umocnioną przez Niemców nadzwyczajnie, wyposażoną we wszystko, co dać może współczesna technika wojenna, bronioną wściekle z rozpaczliwym uporem. Przy tym, gdy Widmo jest silnie zakrzaczone i przez to trudno dostępne, to San Angelo u swego szczytu wznosi się niemal prostopadle jakichś dwieście metrów w górę, nagą, litą skałą, na grzbiecie której znajdują się niemieckie stanowiska, obsadzone przez oddziały, leżące na przeciwstoku. Zadaniem „Kresowej” było zdobyć San Angelo, a przez to obezwładnienie Monte Cassino. Żeby zaś opanować San Angelo, trzeba było wpierw zająć wzgórze Widmo i przejść przez Dolinę Śmierci.

Upiorne wzgórze.

Natarcie ruszyło w nocy z 11 na 12 maja. Dwa baony Wileńskie, potem jeden z baonów lwowskich weszły na Widmo, zostały zepchnięte niemieckim przeciwnatarciem, poszły znów do przodu. Tak przechodziło to wzgórze upiorne z rąk do rąk przez całą noc i przez cały następny dzień i jeszcze jedną noc. Walka szła o paręset metrów skały, ale na każdym metrze ziały leje i wyrwy od tysięcy pocisków, leżeli zabici — nasi i Niemcy — jęczeli ranni, wsiąkała w ziemię krew.

Piekło tam było prawdziwe, kiedy 16 maja — w piątym dniu zmaganiań zacieklej, ruszył do ataku Lwowski Baon majora St. Baon ten był w ogniu od pierwszego dnia natarcia. Przez piekielną gmatwaninę wykrotów, krzaków i zwojów kolczastego drutu, przez setki pułapek i min, przedziera się na zbocza Widma.

Ale Niemców na Widmie jest za dużo. Co najmniej w sile równej nacierającej kompanii, ukryci w schronach, niedostępni i bezpieczni, rażą morderczym ogniem — przyduszają natarcie do ziemi... Wiecie, jak trudno poderwać się wtedy, gdy tuż nad głową leci z żalosnym poświstem fala kul, kiedy instynkt każe jak najgłębiej zaryć się w ziemię, wcisnąć się, przypłaszczyć... Kapitan Ł. usiłuje pchnąć kompanię naprzód. Woła: — atakować! na szwaba!

Odpowiada mu krzyk: — chłopcy, bić tych... synów!

To podnosi się z ziemi podchor. — Tadeusz Gasiński. Dziewiętnastoletni, wesoły i żywy chłopak, który przed paru miesiącami zdawał maturę w Barbarze — teraz podrywa swą drużynę do ataku. Z granatem w ręku pędzi w kierunku niemieckiego schronu — i dostaje serię przez pierś.

Ostatnim odruchem nawyku żołnierskiego woła w stronę dowódcy:

— Panie kapitanie, melduję, że Gasiński nie żyje. — I pada bez życia na głazy...

Widząc sytuację dowódca baonu rzuca na pomoc kompanię drugą pod dowództwem por. P. Ci już na podstawie wyjściowej dziesiątkowani są straszliwym ogniem artylerii i moździerzy. Już są wśród nich ranni, już padło sześciu zabitych.

Zginął szef kompanii, sierż. Władysław Cynowski, rozdarty pociskiem na strzępy. Rozwścieczona kompania prze naprzód. Po polsku, po wariacku. Wspaniałym susem — w 15 minut — są na szczycie Widma. W mig roznoszą schrony. Uderzenie było tak żywiołowe, tak gwałtowne, że Niemcy nie mają czasu się poddać: zanim zdążą podnieść ręce do góry już są roztrzęsieni na bagnietach.

Dowódca kompanii por. P. dopada, siejąc seriami z Tomiganu, do schronu. Odłamek pocisku roztrzaskuje mu lewe przedramię, Tomigan wypada z bezwładnej ręki. Wtedy prawą wychwytuje pistolet i strzela w otwory bunkrów. Rażony serią ze Spandau, pada, brocząc krwią. Spod ognia wynosi go podchorąży Wol., który ze swą drużyną pędzi tuż za dowódcą. Straty są duże, ale uderzenie było skuteczne. Kompania czwarta już się poderwała i naciera na środek wzgórza. Za nią goni trzecia, kapitana K. W ten sposób wypad jednej kompanii zmienia się w natarcie całego baonu.

Kompanie wydusiły Niemców w bunkrach, skonsolidowały się, zapadły na noc na wzgórzu. Widmo jest zajęte i opanowane już teraz ostatecznie. Jednak Niemcy przez noc podciągnęli posiłki i o świcie uderza w Baon gwałtowny kontratak. Idą na prawe skrzydło baonu, na czwartą i drugą kompanię. Dochodzą. Zwierają się pierś w pierś. Wre walka na bagnety i granaty ręczne.

Wtedy dowódca baonu decyduje się na użycie odwodu: rzuca pierwsza kompanię i drużynę kaemów. Pędzą jak diabli, jak wariaci. Nikt nie zważa na wytyczone ścieżki, walą byle gdzie, aby prędzej dopaść. Ziemię zaścielają trupy niemieckie, 16 jeńców wznosi w górę drżące ręce, skomli o litość. Przeciwnatarcie niemieckie odparte. Walka trwa nadal. Niemcy kładą silne ognie zaporowe, między Widmem a San Angelo oraz na nasze tyły, żeby zatrzymać zaopatrzenie i dojście posiłków. Pomimo to koło godz. 6 podciąga drugi baon lwowski dowodzony przez majora B. I ci idą nie bacząc na nic. Rozwiniętą tyralierą przez miny i pułapki.

Przechodzą przez stanowiska pierwszego baonu, przeskakują przez ogień zaporowy i walą na San Angelo. Już uchwycili podnóże góry i zaczynają przec na szczyt. Niemcy z grzbietu San Angelo biją w nich całą bronią. Widać jak padają ranni i zabici. Ginie w tym uderzeniu 7 oficerów baonu. Padają ranni: — kapitan Kr. z rozszarpaną pierśią, kapitan M. z urwaną granatem nogą. Baon prze naprzód. Już dochodzą do szczytu (pamiętajcie: dwieście metrów nagiej litej skały!) gdy z góry wali się na nich przeciwuderzenie. Pękają granaty, plużą ogniem Schmajsery i Spandau'y.

Pod piekielnym gradem pocisków baon drgnął i poczyna spływać na dół. W połowie drogi zapada w teren. Są tu już krzaki: przynajmniej jakaś osłona. Na pomoc podskakuje kompania komandosów i szturmowcy poznańskich ułanów. Wszystko to odbywa się w straszliwym ogniu artylerii i moździerzy. Prawdziwe piekło. Równocześnie wychodzi niemieckie przeciwnatarcie z prawego skrzydła na pierwszy baon, na Widmo. Niemcy rozpaczliwie chcą

wyprzeć go ze wzgórza. Utrzymać Widmo, które kosztowało tyle krwi i życia, za wszelką cenę. Gdybyśmy się cofnęli, Niemcy okrążą naszych na San Angelo.

Baon na Widmie bije wściekle, zawzięcie. Niemcy powoli odchodzą. W tym do dowódcy baonu podbiega oficer z San Angelo: Brak amunicji!... Rany boskie!... Pomóżcie! Dawajcie amunicję!

Bowiem na San Angelo stała się rzecz najgorsza, jaka może spotkać żołnierza — zabrakło amunicji. Chociaż każdy brał tyle, ile zdołał udźwignąć, jednak w tym ogniu straszliwym wyczerpało się wszystko. Jakże walczyć bez amunicji? Ale wnet ją dostają...

Dowodzący całością natarcia pułkownik R. wysyła dwa czołgi na Widmo, które ciągną za sobą przyczepki pełne skrzynek z nabojami. Jeden z nich został trafiony – lecz drugi dochodzi. Ponadto, przez cały czas akcji donosi amunicję oddział ppanc. 1. Baonu. Z rozkazu majora St. podporucznik M., góral z Zaolzia, twardy chłop jak oni tam wszyscy, obraca ze swymi pepancami w górę i w dół, dźwigając skrzynki. Gdy któryś z żołnierzy osłabnie, sam chwyta jego ładunek i pędzi pod górę.

Zresztą któż tu nie pracuje z wielką ofiarnością, kto nie daje największego wysiłku z siebie. Oto plutonowy J., łącznościowiec, ranny w nogę, idzie naprawiać uszkodzenie linii. Podczas pracy dostaje jeden postrzał w plecy. Pomimo to roboty nie przerywa. Odnajduje miejsce przerwane, nakłada złącze, wraca do kompanii. Tu oczekują go już z niecierpliwością: łączność z dowództwem baonu zerwana. Wał, bracie, zobacz znów gdzie tam takie syny rąbnęły...

Plutonowy nic nie mówi o swoich ranach. Chwiejąc się na poranionych nogach idzie na linię. Z tej wyprawy już nie wraca. — Zemdlonego znajdują nad ranem niedaleko dowództwa baonu. Ale uszkodzenie na linii znalazł i naprawił.

Porucznik G., lekarz batalionowy, posuwa się z punktem opatrunkowym tuż za nacierającymi kompaniami. Któż zliczy, ilu ludzi zawdzięcza życie jego natychmiastowej pomocy. Oto dwaj przyjaciele, zsuwając się na plecach w kamienną rynnę, znoszą ze szczytu ciężko rannego podporucznika G. Krew tryska strugami z poszarpanych tętnic. Tylko natychmiastowa transfuzja może uratować rannego i doktor dokonuje zabiegu tu, na miejscu w krzakach, pod gradem pocisków, w nocy bez światła – boć przecież zaświecenie latarki ściągnie od razu ogień Niemców.

Niemcy ostatecznie są ze wzgórz wyparci. Zmordowane śmiertelnie baony zapadają na noc na stoku San Angelo. Czarne zwały chmur przysłaniają gwiazdy. Płyną nisko, tuż nad szczytami, wlokąc długie kudły mgieł po stokach. Wilgotny ziąb wstrząsa dreszczem ciała umęczonych żołnierzy. Leżą oni na zboczu San Angelo w pół jawie w pół śnie, trawieni jeszcze bitewną gorączką. Wyczerpani nerwowo i fizycznie do ostatnich granic, ciężką pracą wojenną, nadmiernym trudem żołnierskim, pragną w tej chwili jednego – wypoczynku. Na razie mają spokój. Tylko Komandosi jeszcze likwidują schrony na stokach.

Z rana 18 maja przychodzi rozkaz wycofujący baon do odwodu. I kiedy żołnierze schodzą powoli ze stoków San Angelo, nad klasztorem na Monte Cassino wznosi się do góry biało czerwony sztandar.

Drugi Korpus Polski spełnił zadanie: otworzył drogę na Rzym.

* * *

Dziś, kiedy piszę te słowa, na wzgórzu zwanym Widmo i w Dolinie Śmierci panuje spokój. Z rzadka tylko tu zaleci jakiś niemiecki pocisk, ludzi nie widać wcale. Może tylko jeszcze leje i wyrwy, może mnóstwo odłamków leżących wszędzie, może strzaskane hełmy i rozrzucona amunicja przypominają o tym piekle, jakie tu było przed paru dniami. Może tylko nieznośny odór zgnilizny parującej ziemi nasiąkłej krwią i z krzaków, w których leżą jeszcze szczątki rozszarpanych pociskami ciał, przywodzą na pamięć złowrogie nazwy tych miejsc.

Ale przeminą dni, tygodnie, miesiące i Widmo nad Doliną Śmierci znów stanie się tym, czym było poprzednio — niewielkim spłachetkiem ziemi, trzema hektarami skały zarosłej gąszczem krzaków.

I tylko w Polsce dalekiej, po chatkach nad Wisłą, Odrą, Wilią i Dniestrem długo jeszcze będą żyć w wspomnieniach świetne zwycięstwa pod Cassino i krwawy znój tych, co polegli, i tych co przeszli przez Widmo i przez Dolinę Śmierci.

Przedruk za: Tadeusz Zajączkowski, „Widmo nad doliną śmierci” [w:]
Kresowa walczy w Italii, Kraków 1992, s. 94-100